

Marek Wawrzkiwicz

Polacy nie gęsi

Gdyby ktoś krytycznie odniósł się **do mojej osoby** w kontekście **mającego tu miejsce** tekstu, to kategorycznie odcinam się. Natomiast musiałbym się zgodzić, z krytykującym mnie (a nie moją osobę) z powodu głupot zawartych w tym tekście (a nie: mających miejsce w tym miejscu).

Kiedyś mówiło się „**Zaprawdę powiadam wam**”, dziś powszechnie używa się zwrotu „**tak naprawdę**”. (Kiedy to słyszę, wiem, że za chwilę ze złotych ust wypłynie straszne łgarstwo.) Można też wnioskować, że wszystko, co zostało powiedziane wcześniej, albo prawdą nie było, albo tylko odrobinę z prawdą się miało. Poza tym jest to przekład z języka biblijnego na język siermiężny. Stosuje go mój ulubiony fachurka spod Warszawy, który nie przybył do mnie z powodu „**zaistniałych warunków atmosferycznych**”, co oznacza, że padał ulewny deszcz. Padał tam, skąd bezskutecznie próbował wystartować, bo tu, na mecie, panowała słoneczna pogoda. Fachowiec ten cierpi na syndrom szwagra. Szwagier ma napady chorób wszelkich, a ich objawy nasilają się w czasie rozpoczynającego się w piątek weekendu. Szwagier związany ze szwagrem mocnymi uczuciami rodzinnymi i zmuszony do towarzyszenia mu w trudnych chwilach, nie może do mnie wpaść w poniedziałek, a i wtorek jest terminem trudnym do przyjęcia.

Akapit powyższy ma charakter dygresyjny, ale jednak służy wywodowi mającemu udowodnić, że Polacy współcześni to nie gęsi i swój język mają. Język ten jest swoistą, coraz bardziej obowiązującą i powszechną modyfikacją naszej ojczystej mowy.

Zasadą obowiązującą we współczesnym języku polskim jest zwrot, od którego zaczyna się co druga wypowiedź: „**Chciałem powiedzieć**”. Logicznie rzecz biorąc oznacza to czas przeszły niedokonany: kiedyś, a może przed chwilą, chciał, ale nie zrobił. Ale robi właśnie tuż po użyciu tego zwrotu. Uroczystym wstępem do występu jest też zwrot „**teraz ci powiem**” z modyfikacją „**ja ci powiem**”. Taki początek oznacza, że usłyszymy coś szczególnie doniosłego, a mówca o tym nas uprzedza, bo moglibyśmy dopuścić się do tego, że przez nieuwagę wymknie nam się ważna uwaga. Doniosłe też jest to pierwsze „**ja**”, bo oznacza, że nikt inny nie mógłby wyartykułować mądrości, co się zaraz objawi. Wiele lat temu w Augustowie z przyjacielem Krzysiem Gąsiorowskim wybrałem się w godzinach popołudniowych do baru piątej kategorii. Przy sąsiednim stoiku siedziało dwóch džentelmenów. Oni znacznie wcześniej zaczęli uprawiać czynność, do której my dopiero się zabieraliśmy. Jeden z nich monotonicznie, co

parę minut zapowiadał: **ja ci, Heniuś, powiem**. I nie mówił tego, co zapowiadał. Nawet po upływie lat zastanawiam się nad tym, co mógłby powiedzieć kompanion Heniusia, gdyby powiedział. I dochodzę do jednego wniosku: ci, którzy go dziś naśladują, mogliby też poza zapowiedzią, nic nie mówić.

Pewien mój nieżyjący już kolega, pisarz znaczny, dał mi do przeczytania dwie swoje książki, których nie znałem. Po paru dniach mimochodem zapytał o wrażenia. Powieści szczerze pochwaliłem, ale zwróciłem uwagę na drobiazgi – że np. nie mówi się „**wrócił z powrotem**”, bo wystarczy powiedzieć „**wrócił**”, i że zwrot „**cofnął się do tyłu**” jest bez sensu, ponieważ nie można cofnąć się do przodu. Obraża trwała kilka tygodni. Obrażony nie pamiętał definicji Mrożka: **Co to jest przodem do przodu? – Postęp. A tyłem do tyłu? – Tango**.

Język jest żywy, musi nadążać za cywilizacyjnymi rewolucjami, znajdować nazwy dla nowych zjawisk, wynalazków, stosunków między ludźmi, musi się zmieniać. Są to zmiany konieczne. Ale też, jak każde zmiany, bywają te na lepsze i te na gorsze. Fatalne jest to, że do tych gorszych przyzwyczajamy się najszybciej, stajemy się na nie niewrażliwi, akceptujemy je do tego stopnia, że po pewnym czasie filolodzy uznają nowe słowa i zwroty za dopuszczalne. I tak w bujnym ogrodzie języka polskiego wyrastają chwasty i właśnie chwasty zaczynamy pielęgnować. Kiedyś staropolskie słowo „**onegdaj**” znaczyło „**przedwczoraj**”, a „**ongiś**” – **dawno temu**. A dziś nawet wyborni publicyści uważają, że przedwczoraj znaczy – w prawdziwych czasach. I w ogóle używanie słów w ich pierwotnym znaczeniu trąci myszką – jeśli ten stary zwrot jest jeszcze zrozumiały dla współczesnego Polaka. Ale niech żywi nie tracą nadziei. Są jeszcze styliści, którzy nie tylko pielęgnowali polszczyznę, a jeszcze jej nowych barw przydają. Słuchałem relacji polskiego sprawozdawcy z któregoś mundialu. Wypowiedział zdanie godne utrwaleń w spiżu: „**Gra Hiszpanów jest prosta jak list do ukochanej**”. Można ten bukiet słów analizować na wiele sposobów i każda interpretacja będzie twórcza. Poza jedną: futbol polega na strzeleniu gola. Ale to nie interpretacja, a chamska aluzja.

Jesteśmy narodem, który się nie dziwi, jesteśmy narodem żyjącym **w szoku**. Przyjął nas kardiolog, nie za pół roku, a za miesiąc – **szok**. Nieznajomy uśmiechnął się do nas w autobusie – **szok**. Po miesiącu oczekiwania oddzwoniła do nas trzecia sekretarka dyrektora – **szok**, bo mogła nie oddzwonić.

Minister delikatnie zasugerował, że być może nie sposób wykluczyć ewentualności, iż popełnił błąd – **szok**, bo ministrowie się nie mylą. Zapowiadali pogodę, a pada deszcz – **szok**. W tej sytuacji wcale się nie dziwię, że jestem w permanentnym **szoku**.

Nasz język dostojnieje, a czyni to przez komplikację. Powiedzieć dziś, że **coś się wydarzyło** jest zwyczajnym prostactwem. Należy mówić **miało miejsce**. O ileż piękniej brzmi komunikat, że **miało miejsce wydarzenie**. Jeszcze nie osiągnęliśmy doskonałości, ale już jutro usłyszymy z lubością, że **w tym miejscu miało miejsce zdarzenie**. Kiedyś był **dzień wczorajszy**, a nawet **dzień jutrzejszy**, tak jakby nie mogło być po prostu **wczoraj i jutro**, a obecnie dołożyliśmy do tego **dzień dzisiejszy**, bo nie może przecież być **dziś**, albo **dzisiaj**. Nie wypada też powiedzieć **w tej chwili, w tym momencie**, bo można się wyrazić bardziej elegancko: **na obecną chwilę, w danym momencie**. Tęsknocie do dostojnej komplikacji ulegli nie tylko politycy, ale w ślad za nimi dziennikarze radiowi i telewizyjni, wykładowcy i nauczyciele. Może tylko kościół nie podąża za duchem czasu?

Stare elity się zużyły. Nieśmiało wracają do mody tytuły hrabiowskie i książęce, do brze jest napomykać o szlacheckim pochodzeniu, ale to wszystko nie znaczy tyle, ile **onegdaj i ongiś**. Elit artystycznych i intelektualnych nie ceni się w epoce, w której ozdobą salonów są aktorzy serialowi i gwiazdy disco polo. Przygasał nawet blask książąt kościoła. Natura jednak nie znosi pustki i oto jesteśmy świadkami narodzin nowej elity. Ma wszystko: pieniądze, wpływy, instytucje, władzę. Ma też, ta elita i jej służba, własny język.

W tym języku nie ma słów **ja i mnie**. Zastąpiły ją słowa **moja osoba, moją osobę** itd. Janusz Gajos może rozpocząć zdanie od słów: **a ja** uważam, a Józef Hen pożalić się, że **mnie** skrzytkowano, a Alcega wiadomo, że jest to język ludzi nie należących do elity, nieledwie język plebsu. Mówi się: **Mojej osobie** zarzucono, **moja osoba** została wymieniona. I wszyscy wiedzą, że mamy do czynienia z przedstawicielem elity, z, że tak powiem, jądrem narodu. Taka osoba oznajmia czasem, że oto zakończyła się jej **misja** na stanowisku ministerialnym, prezesowskim, naczelnym. **Misja** – czyli coś więcej niż praca na jakimś stanowisku. **Misja**, czyli coś, co na **osobę** spłynęło z góry, z mocy sił nadprzyrodzonych, co ją natchnęło i namaściło.

Marzę o czasach, kiedy ktoś w takim przypadku powie: wypieprzyli mnie z roboty.